

## Wesołe przedrzeźnianie

**René de Obaldia:**  
**Wiatr w gałęziach Sa-**  
**safrasu. Przekład i a-**  
**daptacja:** Kazimierz  
Piotrowski. **Przeład**  
wierszy: Jerzy Lisow-  
ski. **Reżyż:** Irma Czay-  
kowska. **Scenogr.:** Ry-  
szard Kuzyszyn. **Prze-**  
**kład:** Zygmunt Ko-  
nieczny. **Teatr Rozmai-**  
**tości.**

**P**ARODIA westernów i nie tylko westernów... tak by można pokrótce określić „Wiatr w gałęziach sa-safrasu” pokazywany w Teatrze Rozmaitości. Chodzi o beztroński żart z wielu konwencji literackich, które Obaldia, francuski autor, pochodzący z Ameryki Środkowej, a więc łacińskiej, nie tyle chce wyśmiać, co nimi poigrać sobie i dla publiczności.

Nie szuka głębszego sensu, ani nie dyktuje światopoglądu, natomiast hojnie operując anachronizmami sporo mówi w przenośni o ludzkich odruchach i śmiesznościach. Rzecz jest z ducha romańskiego, lekka jak pianka. Należy ją traktować jako czystą zabawę i tak została przedstawiona.

Na to jednak, by miała należyte powodzenie, potrzeba dwu zasadniczych elementów. Po pierwsze, temat sparodiowany, a więc westerny, komiksy, sztuczne głębie egzystencjalistów i brutalizm amerykańskich epików naturalistycznych, a także wiele innych spraw potraço-

nych w sztuce, które autor wrsucił do jednego garnka, muszą być chlebem powszednim widzów, by znalazło to odzew na widowni. Wtedy tylko można pośmiać się szczerze, gdy jest się przesyconym tym co jest wyśmiewane. Jeżeli tak nie jest, przeszkadza w śmiechu marzenie, sentyment, niedosyt. Słowem powodzenie tej sztuki w dużym stopniu zawisło od strawy literackiej jaką się żywi dana widownia. Stąd mogą być niespodzianki. Widz szukający w obcej sztuce przede wszystkim przekazu o egzotycznych dłań stosunkach i pragnący mieć iluzję na zasadach tzw. „prawdziwej bajki” — może rozczarować się.

Natomiast sztuka ta przeniesie go w sferę absurdu i to dziecinnego. A przecież ma się na to prawo, zwłaszcza w sezonie wakacyjnym i w ogóle dla odpoczynku.

Drugim zaś warunkiem jest właściwe podejście aktorów do tekstu. By dorośli widzowie mieli okazję zabawić się jak dzieci, aktorzy powinni także uderzyć w ten ton.

Dokonała tego w pełni Joanna Jedlewska w roli Miriam, prostytutki uciekającej przed mordercami i poślubiającej wykołajonego lekarza. Potrafiła całkowicie wyśmiać rozmaite egzaltacje nad istotami upadłymi, jakie tylko przekazują nam różne literackie tradycje. Nawet ko-

na, oczywiście, prześmiesznie. Rola jej jest opracowana w każdym szczególe, czego chwałę dzieli w oczywisty sposób z reżyserią.

Ton, podawany przez Irmę Czaykowską podchwytują także inni, na ogół dość trafnie. Wspomnę tu Wandę Stanisławską - Lothe jako Karolinę Rockefeller w jaskrawej scenie z kryształową kulą i w dyskretnej scenie z wyznaniem wzajemnych win z mężem. Jarosław Kuszewski jest bardzo dobry w scenie, gdy otrzymuje gwiazdę szeryfa. Wacław Kowalski jest przezbawny, gdy pistolet zaczyna mu pracować po nogach lub gdy, będąc związany, potrafi chwycić butelkę. Zbigniew Dobrzański jest dziecinnie śmieszny jako Indianin poczelwy, co jeszcze lepiej pasuje niż gdy gra Indianina srogłego.

Ale także ci, którzy wykazali w tym przedstawieniu mniejszą tendencję do parodiowania, a mam na myśli Stanisława Winczewskiego jako starego osadnika, Jolanę Lothe jako pełną temperamentu jego urodziwą córę i Kazimierza Meresa jako tajemniczego Carlosa — służą dobrze przedstawieniu, nadając mu koloryt, jak najślusniej nie zgubiony w inscenizacji, co obok wykonawstwa i reżyserii należy zaliczyć także do dobro scenografii.